Nr. 5. We Lwowie, maj, 1923. Rok XLIV.

ŁOWIEC

ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

Kalendarz łowiecki W maju wolno polować na cietrzewie i głuszce do 20-tego.

Do członków! Wkładka członkoska M. T. Ł. na II-gi kwartał r. 1923 wynosi 8.000 Mkp.

Cena pojedynczego egzemplarza 3.500 Mk. — Prenumerata na II-gi kwartał r. 1923 — 9.000 Mk.
Ceny ogłoszeń: cała strona 400.000 Mk, 1/2 str. 200.000 Mk, 1/4 str. 100.000 Mk. 1/8 str. 50.000 Mk, 1/16 str. 25.000 Mk, 1/32 str. 15.000 Mk.
Ogłoszenia wewnątrz tekstu o 50% drożej.

Redakcja i administracja: Lwów, ul. Mickiewicza l. 6. w podwórzu (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Adres telegramów: „Łowiec", Mickiewicza 6. — P. K. O. Konto Nr. 145.839.

Do Panów Delegatów

Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.

Wydział Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego powziął na posiedzeniu w dniu 9. kwietnia 1923 jednogłośnie następującą uchwałę:

Celem ujednostajnienia dotychczasowej praktyki — a zarazem uniknięcia kolizji przy wydawaniu opinji w tych w wypadkach, gdy — z powodu rekursu lub sprzeciwu — sprawy dotyczące łowiectwa przechodzą pod orzecznictwo Władz II instancji, postanawia się, że do wydawania opinji na żądanie Władz I instancji (Starostw, Wydziałów Rad Powiatowych) i interwencjowania u tych Władz w sprawach łowieckich, powołani są delegaci Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, ustanowieni na poszczególne powiaty Małopolski.

Wydział Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego będzie wydawać opinje na żądanie Władz II instancji (Urzędów Wojewódzkich, ewentualnie Tymczasowego Wydziału Samorządowego, względnie Władz centralnych) i interwenjować u tych Władz bądź z własnej inicjatywy, bądź na prośbę Panów Delegatów.

Komunikując Panom Delegatom powyższą uchwałę i podając równocześnie treść jej do wiadomości Urzędów Wojewódzkich z prośbą o stosowne instruowanie Panów Starostów — Wydział Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego prosi Panów Delegatów o ścisłe stosowanie się do tej uchwały w przyszłości.

Zarazem powołując się na postanowienia regulaminu dla Panów Delegatów, Wydział Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego prosi ponownie najgoręcej o roztoczenie jak najtroskliwszej opieki i jaknajintenzywniejsze interesowanie się sprawami łowieckiemi powiatu, pieczy właściwych Panów Delegatów poruczonego, a w kwestjach wątpliwych, czy to natury prawnej, czy fachowo-łowieckiej, zwracanie się bezpośrednio do Wydziału Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, który zorganizowawszy obecnie należycie referat łowiecki, udzielać będzie żądanych informacyj, względnie interwenjować u Władz Wojewódzkich bezzwłocznie.

Przy tej sposobności Wydział Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego zwraca uwagę Panów Delegatów, że z aktów, nadsyłanych mu przez Urzędy Wojewódzkie do zaopinjowania, powziął wiadomość, że Panowie Delegaci wydają swe opinje, właszcza w sprawach dzierżawy polowań w okręgach Spółek łowieckich z wolnej ręki, częstokroć nienależycie, kwestjonując nie formę wydzierżawienia polowania, lecz osobę samego dzierżawcy, co sprzeczne jest z postanowieniami § 17 obowiązującej w Małopolsce ustawy łowieckiej — i nie daje władzom I instancji należytej podstawy do wydania orzeczenia, zgodnego z interesami łowiectwa.

Wobec tego Wydział Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego prosi Panów Delegatów ponownie, aby zechcieli zapoznać się jaknajdokładniej z postanowieniami ustawy łowieckiej, regulaminu dla delegatów, a także okólnika Lwowskiego Urzędu Wojewódzkiego z dnia 17. marca 1922 L. 1905/VII/I, umieszczouego w całej rozciągłości na str. 1—17 tegoż regulaminu, a wyjaśniającego w ustępie III w sposób wyczerpujący intencje ustawy i sposób postępowania w sprawach tego rodzaju.

Zarazem Wydział Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego prosi usilnie Panów Delegatów, aby przy wydawaniu swych opinji opierali się na stwierdzonych niezbicie faktach i okolicznościach, a nie na niepewnych częstokroć i niczem nie popartych informacjach stron interesowanych, co częstokroć powoduje, że Władza bądź nie może w konkretnym wypadku oprzeć na odnośnej opinji swej decyzji, czy orzeczenia, bądź zrażona powszechnością opinji, przestaje ich wogóle żądać, co jest objawem bardzo niepożądanym dla łowiectwa i dla powagi Towarzystwa.

Wyrażając niepłonną nadzieję, że Panowie Delegaci, jak dotychczas, tak i nadal interesować się będą gorliwie sprawami łowiectwa w powiatach, poruczonych Ich opiece, Wydział Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego ze swej strony zapewnia, że jaknajusilniej popierać będzie Ich słuszne żądania i życzenia.

Lwów, dnia 16. kwietnia 1923.

Prezes:
Juliusz Bielski.



F. ROŻYŃSKI i Dr. E. SCHECHTEL.

Ekonomiczne znaczenie łowiectwa dla naszego kraju.

(Praca odznaczona I-ą nagrodą na konkursie Pol. Tow. Łow.)

(Ciąg dalszy).

Ekonomiczne znaczenie łowiectwa dla Polski.

Mimo, że Polska jest krajem bardzo niskim (średnia wysokość 150 mtr. ponad poziom morza), postać ziemi jest tak urozmaiconą, jak może w żadnym kraju Europy. Każdy z trzech głównych pasów hypsometrycznych Polski: pas Sudetów i Karpat, pas wyżyny Małopolskiej i Czarnomorskiej i największy pas nizin cechują się ogromną zmiennością krajobrazu i warunków fizjograficznych. Drobiazgowe rzeźby turni tatrzańskich, lesiste lub trawiaste grzbiety Sudetów i Karpat, głębokie jary Podola, w końcu olbrzymi niż polski suchy i żyzny na zachodzie, na wschodzie bagnisty i pokryty lasami, przecięty obfitym splotem wód, oto zaiste rozmaitość, jaką niełatwo znaleźć! Przebogata przyroda Polski, zawiera też idealne warunki bytu dla wszelkiego rodzaju zwierzyny, która osiąga u nas niezwykłą tężyznę. Nasze naturalne rasy zwierzyny należą do najtęższych w Europie. Mimo, że Królestwo Polskie i cała Polska rosyjska, nie brała udziału w Pierwszej Międzynarodowej Wystawie w Wiedniu w r. 1919, odniosła sama Galicja dwa rekordy światowe: za największego niedźwiedzia i największego rogacza. Do najtęższych w Europie należy też nasz zając i jeleń. Są to dowody, że kraj nasz posiada idealne przyrodzone warunki bytu dla wszelkiej zwierzyny.

Polesie i znaczne części Białorusi nad Berezyną, oto kraje, gdzie rola zajmuje mniej niż $^1/_4$ powierzchni ogólnej, a schodzi w niektórych powiatach do $^1/_8$. Jest to jedyne terytorjum polskie, skazane prawie wyłącznie na „kulturę“ lasową. Z terenu kwaśnych łąk i zarośli leśnych przedostajemy się o 40—60 km nagle do krainy łanów, gdzie role zajmują $^1/_3$ do $^3/_4$ powierzchni ogólnej. Ale oprócz tej dziwnej metamorfozy gospodarczej na wschodzie, będącej skutkiem warunków fizjograficznych, a więc dziełem przyrody, spotykamy drugą na zachodzie, będącą dziełem rąk ludzkich, pokonywujących przyrodę. Olbrzymie różnice warunków przyrody od Inflant do Ukrainy, nie są w stanie wytworzyć nigdzie tak wyraźnej granicy we wszelkiej produkcji, jaka istnieje pomiędzy byłym zaborem niemieckim z jednej strony, a austrjackim i rosyjskim z drugiej strony. Jest to zjawisko uderzające! Najwyższe izarytmy jakiegokolwiek działu produkcji rolnej, przebiegają niemal dokładnie zawną polityczną granicę niemiecką. Jest to najlepszym dowodem z drugiej strony, że oprócz ważnej roli, jaką odgrywają naturalne warunki, olbrzymi wpływ wywiera potęga pracy ludzkiej, która stosowana z organizacją i rozumnem doświadczeniem, działa cuda niemniejsze, niż przyroda. I to stanowisko jest podstawą naszych rozważań nad znaczeniem ekonomicznem łowiectwa dla Polski. Jaki stan zastajemy obecnie, tośmy już wyżej opisali. Nasze łowiectwo jest w pierwszych początkach, zaczyna dopiero wstępować na tę drogę, którą gdzieindziej kroczy śmiało i z wielkim pożytkiem dla gospodarstwa narodowego. Obecne znaczenie naszego łowiectwa jest tylko ułamkiem tego, jakie ono posiadać powinno; w dodatku nie posiadamy dostatecznych dat statystycznych. Możemy jednak obliczyć potencjalną wartość, używając metody porównawczej; możemy obliczyć, ile kraj nasz, przy jego warunkach naturalnych i przy rozwinięciu pewnej kultury w tym dziale, może i powinien dać w łowiectwie, opierając się na danych statystycznych, zebranych o łowiectwie w innych krajach.

Polska jest dziś krajem wybitnie rolniczym. Świadczy o tem poniższa tabelka, z której wynika zarazem pośrednio, że jesteśmy krajem dość pierwotnym i bez przemysłu.

Przegląd międzynarodowy.

Na 100 ludności zawodowej przypada na rolnictwo i leśnictwo (według Romera i Weinfelda):

Rosja	75
Węgry	70
Polska	65
Włochy	59
Szwecja	50
Austrja	48
Danja	43
Francja	43
Norwegja . . .	39
Stany Zjednocz.	36
Niemcy	35
Szwajcarja . . .	31
Holandja . . .	28
Belgja	21
Wielka Brytanja .	12

Ziemie Polskie. Użycie ziemi.

(Według „Rocznika Polski“ E. Romera i J. Weinfelda.)

Ziemie	Rok	Obszar ogółem	Ziemia orna	Łąki pastw.	Lasy	Ogrody budyn. nieużyt.
		w tysiącach hektarów				
Królestwo Polskie .	1909	12.286	6,921	1.815	2.218	1.332
Litwa i Białoruś . .	1887	28.517	9.019	4.672	9.235	5.591
Ruś	1887	15.700	8.440	1.555	2.936	2.769
Poznańskie . . .	1913	2.899	1.845	301	578	174
Prusy zachodnie . .	1913	2.556	1.435	295	584	242
Rej. Olsztyńska . .	1913	1.203	607	187	260	149
Rej. Opolska . . .	1913	2.323	748	116	382	78
Galicja	1896	7.849	3.807	1.646	2.015	381
Śląsk Cieszyński . .	1896	223	107	36	70	10
Razem . .		72.556	32.929	10.623	18.278	10.726
		100	45	15	25	15

Powyższa tablica obejmuje granice Polski z r. 1772 i zawiera z jednej strony kraje, które nie będą do nas należały w całości, jak Ruś, albo też tylko w części, jak Litwa i Białoruś, z drugiej strony brak w niej krajów, z których części Polsce po plebiscycie przypadły, jak część Spisza i Orawy. To też za podstawę obliczeń powierzchni, musimy przyjąć na wschodzie nie granice z r. 1772, lecz mniejwięcej linję od Zbrucza wzdłuż na północ do Wilna, opuszczając Ruś zupełnie i zaliczając tylko części Litwy i Białorusi, zaś na północn.-zachodzie trzeba przyjąć w przybliżeniu na Spisz i Orawę, jako nieobjęte powyższem zestawieniem, około 10.000 km.² Przy przyjęciu tych poprawek trzeba też w przybliżeniu przyjąć procenty, przypadające na role, lasy, pastwiska i t. d., analogicznie i w przecięciu do tych krajów, z których, jako wykrojone części pochodzą i z których względnie wiarogodną statystykę oficjalną posiadamy.

(C. d. n.)

W obronie żubrów.

Przejeżdżając we wrześniu zeszłego roku przez Poznań, wstąpiłem do ogrodu zoologicznego. Ze zwierząt krajowych, które mnie najwięcej interesują, są tam trzy żubry, kilka niedźwiedzi, dzików, wilków, jeleni, sarn, te ostatnie nawet tam się mnożą. Oprócz tych zwierząt jest wiele innych, jak: wielbłądy, słonie, lwy, bawoły, małpy, słowem, cała menażerja. Wszystkie te zwierzęta są w tak ciasnych klatkach lub ogrodzeniach, że n. p. żubry ledwie się w nich obracać mogą. Czyż to nie jest jedną ogromną męczarnią dla tych zwierząt? Czy Polska nie może założyć taki zwierzyniec, w którymby najwięcej były reprezentowane zwierzęta naszych pól i naszych przepięknych kniei, i aby te zwierzęta znalazły tam tesame warunki, w jakich żyją w przyrodzie, chociażby to było tylko w minjaturze. Zwierz osadzony w klatce czy też w jakimś małym ogrodzie, nie daje ani połowy tego uroku, jaki go otacza na tle przyrody. Trzymanie zwierza w ciasnem, zamkniętem miejscu, jest barbarzyństwem.

Piękne zwierzyńce mają wszystkie kulturalne państwa, bo te wpływają na większe umiłowanie krajowej przyrody, której zwierzyna stanowi jakoby okrasę.

Chciałbym teraz zapytać Szanowną Redakcję, czy Rząd polski nie może się upomnąć o te żubry, które zostały przepędzone z białowieskiej puszczy do lasów innych?

Każda sztuka tej zwierzyny powinna być przez nas ogromnie ceniona i w tym wypadku nie powinniśmy tego zaniedbywać.

Mój brat, wracając ze Syberji, widział w Moskwie ośm żubrów, prawdopodobnie te były także z Białowieży. Bardzo możliwem jest, że kilka lub więcej żubrów będzie jeszcze w lasach poleskich, przez które one były gnane na wschód. Mogły się tam tembardziej zatrzymać, że niektóre tamtejsze lasy są dla ludzi trudno dostępne. Należałoby tu utworzyć jakby komisję, którąby te lasy Polesia naszego przeszukała. Dziwnem mi się wydaje, że rząd nasz zaraz w początkach swojego istnienia nie otoczył reszty ocalałych żubrów w Białowieży troskliwą opieką. Wysokie kontrybucje, nałożone na wsi, położone wewnątrz puszczy lub na jej kraju, za każdego ubitego żubra, dałyby temu mocarzowi naszych praborów dostateczną ochronę. Temu królewskiemu zwierzęciu należą się wyjątkowe prawa, gdyż inaczej wkrótce przejdzie do historji, a po muzeach oprócz kości mamuta i innych potworów, będziemy również oglądać i kości żubra. W tym wypadku wina, że „żubr brodaty“ został starty z powierzchni ziemi, będzie ciężyła na naszych piersiach.

Teraz, co się tyczy żubrów w Pszczynie.

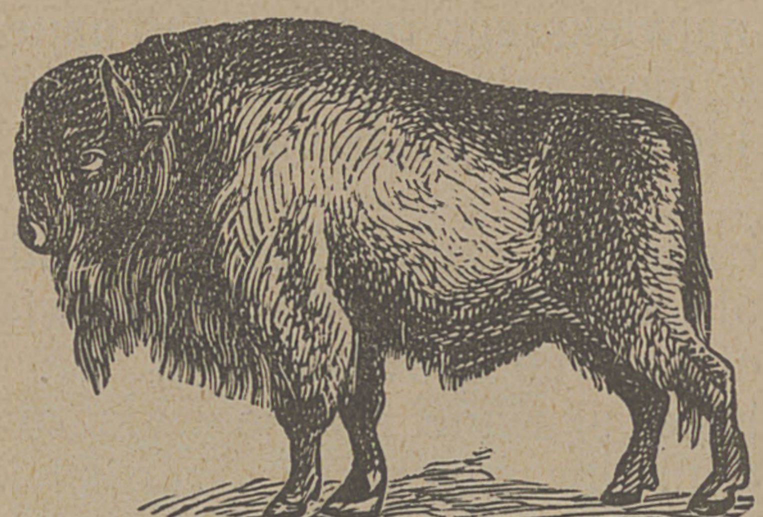
Obecnie „Łowiec“ podaje, że w lasach ks. na Pszczynie żyje 16 sztuk tej zwierzyny, zaś w roku 1916 w nr. 11. i 12. w artykule p. t. „Ginące żubry“, podał, że stan zubrów w Pszczynie wzrósł do 70 sztuk. Zachodzi więc pytanie, gdzie reszta żubrów się podziała? Spustoszeń żadnych wojna tam nie uczyniła? Czy tu także jesteśmy bezradni? Wszak to także żubry z Białowieży!

Żubry znajdują się jeszcze w dobrach jaworzyńskich ks. Hehenlohego, położonych w wschodniej części Tatr, po stronie czechosłowackiej. Będąc zajęty przy Komitecie plebiscytowym na Spiszu, słyszałem od tamtejszych gajowych, że ks. Hohenlohe naznaczył nagrodę jakąś, za wskazanie mu, gdzie znajduje się jeden żubr, który uciekł z jego zwierzyńca. Podobno tych żubrów jest tam kilka.*) Mam nadzieję, że jeżeli ktoś energiczny zajmie się sprawą żubrów, to nietylko, że się ich uchroni od zagłady, lecz także stanie się on mieszkańcem wszystkich naszych większych borów. Trzeba tylko, aby wszyscy, a zwłaszcza rząd, szedł na rękę temu lub tym, którym ochrona żubra leży na sercu. Stany Zjednoczone, w których tamtejszy bizon przed kilkoma laty liczył zaledwie ponad sto sztuk z dawnych miljonowych stad tej zwierzyny, dziś z tak małej liczby doprowadziły ich stan do cyfry kilku tysięcy, zakładając osobne „Towarzystwo Ochrony Bizona“ i oddając temu towarzystwu sławny park Yellowstone.

Nad rzeką Atabaską w Kanadzie żyje bizon leśny, różniący się tem od stepowego, że jest większych rozmiarów, ma bujniejsze uwłosienie i żyje wyłącznie w lasach. Przypuszczam, że kilka sztuk tych żubrów wpłynęłoby świetnie na odświeżenie krwi u ich krewniaków, zamieszkujących Polskę. Również i jeleń tamtejszy, tak zwany Wapiti, o potężnym, szeroko rozłożonym wieńcu, wpłynąłby niewątpliwie dobrze na poprawę rasy naszego jelenia nizinnego.

Kończąc te notatki o naszych żubrach biednych, proszę szan. Redakcję, by jeszcze raz tę sprawę poruszyła, gdzie tylko można. Jak czytam „Łowca“, to już od kilku lat t. j. od chwili, gdy zaczęła grozić żubrom zagłada, „Łowiec“ szczerze się nimi zajmuje, więc teraz, kiedy już zguba dla nich wisi prawie nieuchronna, potrzeba koniecznie, aby coś przeciw temu zaradzić.

S. B.



WŁADYSŁAW CZERNIEJEWSKI.

Czterdzieści lat myślistwa w stepach i puszczach

1880—1920.

(Ciąg dalszy)

Psiarki spuścili psy ze smycz, czego, zajęci rozmową, nie zauważyliśmy. Wesołą biesiadę wieczorem przerwał nam przyjazd kilku podwód chłopskich z pobliskiego Uścia, naładowanych paru cielętami i sporą kupą owiec, poduszonych przez nasze pieski, za które wspólnie trzeba było płacić, co zażądali, ale i to przecież należy do charcich przyjemności!

Błahy na pozór niekiedy wypadek, na całe dalsze życie pewien ma wpływ. Na jednem z licznych naszych

*) W tatrzańskich rewirach ks. Hohenlohego znajdują się bizony, nie żubry (Red.)

polowań charty złapały sarenkę. Jadąc pierwszym na skrzydle na mej ścigłej klaczy, dobiegłem i zastałem jeszcze żyjące, piękne stworzonko, a widząc w ślicznych jej oczach straszny przestrach i dwie duże łzy błyszczące, przyrzekłem sobie nigdy nie zabijać tego zwierzątka i nigdy też nawet nie podniosłem broni do niego.

Młóciłem blisko folwarku Owsijówki nasiona buraków, gdy zdyszany objeszczyk Pryk nadbiegł z wieścią o pasącym się dużym tabunie dropi na sąsiedniej plantacji. Śpiesznie uwiązaliśmy duży kosz od plewy między parę spokojnych wołów, ulokowałem się w nim możliwie wygodnie, a Pryk idąc w tyle za mną, popędzał woły. Idąc wolno, popasając po miedzy woły, zbliżyliśmy się do ptaków na 200 blisko kroków. Zdawały się nie zwracać na nas uwagi, spacerowały majestatycznie, skubały listki roślin, lub z nich zbierały owady. Gdyśmy jednak podeszli bliżej, czujniejszy jakiś osobnik obejrzał się, strzepnął skrzydłami, jakgdyby chciał wypróbować, czy go nie zawiodą w locie, co widząc inne, powyciągały długie swe szyje i szybciej oddalać się poczęły, gotując się do lotu. Straciwszy nadzieję podejścia bliższego, wyciągam mą dwururkę między rogate łby wołów i palę z lewki. Co po mym strzale stało się z ptakami, trudno było mi widzieć, gdyż rozhukane woły uniosły mnie w szalonym pędzie ku bliskim zaroślom, biły nogami po wlokącym się za nimi koszu, który ze mną razem podskakiwał po pniach i nierównym gruncie, aż wreszcie pękły ostatnie sznury i pozostałem z mym koszem w głębokim rowie, na szczęście dość suchym. Odleciała mnie też chęć na długo do podobnego rodzaju łowów, przyjemność których długo w mych kościach dotkliwie czułem.

W czasie kopania buraków, stojąc na plantacji, spostrzegłem nadciągające stado dropi, ścisnąłem boki memu kasztanowi i puściłem się przeciąć im drogę. Gdym porównał się z pierwszym ptakiem, strzeliłem z mej tesznerówki, a gdym chciał poprawić drugim strzałem, czuję, jak pękają mi popręgi i zaczynam zjeżdżać na tył koniowi; ten zaczyna mnie unosić, rzucać się i dawać szalone szczupaki, aż wreszcie padamy w głębokie glinianki na łeb przez siebie. Gdym otworzył oczy, stała przedemną hoża mołodycia Horpyna, okładając mi mokrą szmatą głowę, w której trzeszczało i szumiało, jak w ulu szerszeni. Pociechą był mi tęgi drop, leżący obok, a przyniesiony przez dozorcę. W tej części Podola dropie stale się trzymały, często znajdowaliśmy młode tu ptaki, lecz nigdy nie spotykałem ich tutaj w takiej kolosalnej ilości, jak w latach następnych widywałem w Dzikich polach Chersońszczyzny, Ekaterynosławskiem lub Taurydzie.

W Uściu w tym czasie żył jeszcze ostatni z kozaków hulaszczego magnata hr. Szembeka, Włas stary. Sławny ten dojeżdżacz i wabiciel wilczy, mimo swych 75 lat, tęsknił za łowami dawnemi, a dowiedziawszy się o mej myśliwskiej zaciekłości, zjawił się pewnego razu, u mnie, z propozycją zapolowania na wilki z wabiem. Takiego towarzysza mi brakło właśnie, więc też z pierwszego spotkania przypadliśmy sobie do gustu, jakkolwiek cała kopa lat nas dzieliła. Gdy nadeszła jesień i stosowna pora wabienia wilczego, przywlókł się mój stary i z wczesnego wieczora wybraliśmy się do lasu; zachodzące słońce zastało nas w głębokiej, dalekiej kniei, siedzących na sochym pniu starego dębu, wspartych plecami do siebie. Powietrze było łagodne, ciche, najlżejszy nawet wietrzyk nie poruszał listeczkami, las spokojnie drzymał swym snem letargicznym, tylko gdzieś w dalekiej dębinie niekiedy huknął przeraźliwie puhacz, czasami cicho przeleciała nad nami sowa, bez szelestu przesunął lelek-kozodój. Sciemniało zupełnie. Włas złożył swe dłonie, podniósł je do ust i popłynęły dziwne z nich tony w dal niewidzialną, roznosząc echo po dolinach i jarach. Głos Własa zmieniał się z cichego jęku w żałosne wycie, to znów zrywał się gwałtownie lub przycichał zupełnie, a wtedy leśna cisza jeszcze stawała się uroczystszą. Z kniei długo nikt nie odpowiadał. Zaczęły mnie elektryzować spadające z cichym szelestem suche żołędzie, irytywał mnie brzęk natrętnych komarów, żądnych mej krwi. Włas po niejakim czasie powtórzył swe wycie, które teraz robiło na mnie nieprzyjemne wrażenie. Zawodził żale, stękał, wył przeraźliwie, to znów krótko, zawzięcie naszczekiwał. Słysząc te dziwne głosy, mimowoli przebiegał mi zimny dreszcz po skórze, nie było mi zbyt wesoło w tem otoczeniu. Po długiej pauzie, daleko w głębi boru, rozległo się przeciągłe wycie, na które Włas krótko odpowiadał wyciem podobnem. W chwilę potem z innej strony lasu odezwał się odmienny głos zwierza. Długo teraz stary marudził z odpowiedzią, a gdy zaledwie wydał cichy głos podziemny, doleciał nas szum biegu zwierza po suchych liściach i trzask gałązek pod jego nogą. Byliśmy otoczeni dokoła przez gromadę wilków, Włas zamilkł zupełnie, a mnie włos zjeżył się pod czapką. Długie godziny słyszeliśmy włóczącego się zwierza w bliskości naszej, który jednakże z zarośli wyjść na otwarte miejsce nie chciał, a w ciemności leśnej dojrzeć go było trudno. Dopiero przededniem huknął tuż nad nami puhacz przeraźliwie i spłoszony zwierz nas opuścił. Próżno nad ranem Włas próbował zwabić zwierza, las głębokiem milczeniem odpowiadał mu na jego żale i jęki. Z próżną torbą powróciłem do domu, lecz nie żałowałem bezsennie spędzonej nocy; pozostawiła mi ona nieznane dotąd wrażenia, bądźcobądź dość przyjemne.

Zima tego roku zapowiadała się sroga, śniegi wcześnie pokryły pola grubą powłoką, lasy ciężką powlokły okiścią. Mrozy w połowie stycznia dochodziły 30 stopni. Zgłodniały zwierz częściej się pokazywał na szlakach, stawał się śmielszym, zbliżał się często do siedzib ludzkich. Częste śnieżne zamiecie i fugi huraganowe nie dozwalały mi urządzać nocnej wycieczki na zwierza, więc gdy nastąpiła stalsza pogoda i mróz cokolwiek osłabł, wybrałem się w trójkę z Probosiewiczem i Moniuszką na podjazd do lasów Berszadzkich, obfitujących szczególnie w zwierza drapieżnego. P. trzymał w worku prosiaka, ja z M. na tylnem siedzeniu zajęliśmy obserwujące miejsca, mając zwróconą uwagę na ciągnącym się na długim sznurze pęk grochowin, z kawałem wonnego mięsa. Pryk Iwan, wielki spryciaż w podobnych wypadkach, powoził trójką najdzielniejszych biegunów naszej stajni. Po długiem włóczeniu się po szlakach, drogach i drożynkach, leśnych wertepach, znudzony bezowocnością zabiegów naszych, kazałem zawrócić ku domowi. Wyjeżdżając z wysokiego lasu, poleciłem poraz ostatni Probosiewiczowi podusić ochrypłego i ledwie żyjącego prosiaka, a gdy ten zaledwie wydobył z biednego zwierzęcia ostatnie jęki, Moniuszko zwrócił mi uwagę na przydrożne zarośla, w których kilka par błyszczących w świetle księżyca oczu zabłyszczało. P. kazałem z prosiaka ostatnich sił dobyć, a M. popuścić sznura z przynętą, Prykowi zaś zwolnić biegu koni. W tej chwili trzy sylwetki zwierza pokazało się za nami na szerokim gościńcu. Idą, jak w uprzęży obok siebie i szybko zbliżają się ku nam. Są już o staję za sankami, każę ściągnąć sznur króciej i jeszcze wolniej jechać, a gdy mamy ich na strzał, palimy do nich prawie równocześnie z M. Po strzałach jeden z nich przysiadł na środku drogi, inne wskoczyły w zarośla. Każę zawracać Prykowi, lecz w tej chwili uderza kańczugiem po rączych koniach i co sił rusza ku domowi. Dopiero teraz zauważamy po obu stronach drogi wysuwających się z krzewów kilkanaście sztuk wilków. Protesiowicz ciska im prosię z workiem, na które rzuca się sztuk kilka, a innych parę stara się zabiec nam drogę, lecz prześcignąć naszych koni nie mogą. Do tych dajemy kilka strzałów, szczególniej do śmiałka, rzucającego się na konia. Szczęściem wieś mieliśmy już przed sobą blisko, kołowrot, wyjeżdżając, zostawiliśmy otwarty, więc wpadamy w szalunym pędzie do wsi, pozostawiając zgłodniałą zgraję za płotem. Nazajutrz pojechałem po zdobycz pozostawioną na drodze. Znalazłem już martwego wilka w przyległym rowie, miał rozstrzeloną pierś. Kto go zabił, było mi obojętnem, dość, że go miałem. Znalazłem jeden z śladów, przeprowadza-

jących nas do samych wrót, mocno krwawiący, lecz nie starałem się go odnaleść, pewne wrażenie niedawnego strachu, jeszcze bardzo świeże, stało mi w pamięci, bym chciał się dobrowolnie na niebezpieczeństwo narażać.

W końcu zimy zjawiła się epidemja na bydło, wyniszczająca masy inwentarza po wsiach. Przejeżdżając około jednego z takich bydlęcych cmentarzysk za wsią, zauważyłem obok licznych śladów psich, lisich, ślad wilczy. Z pomocą polowego, sporządziłem ze śniegu małą forteczkę obok cmentarzyska, z stosowną strzelniczką i siedzeniem i w najbliższy wieczór wybrałem się na zasadzkę.

Idąc, wstąpiłem do Moniuszki, gdzie zabawiłem dłużej, niż myslałem. Schwyciłem więc pośpiesznie strzelbę i ładownicę i podążyłem do mej forteczki. Przy trupach zastałem jakieś zgłodniałe psisko, ogryzające zajadle kości, które nawet nie zauważyło mnie. Po długiem bardzo oczekiwaniu, piesek zamruczał żałośnie, a podwinąwszy ogon pod siebie, czmychnął do wsi. W kilka minut potem dał się słyszeć pozamną chrząst śniegu, lekki bieg zwierza i w niedalekiem oddaleniu pokazał się wilk. Obszedł cmentarzysko, przystanął, obejrzał się wokoło, obwąchał niedojedzone kości i po krótkim namyśle dopadł do padła i rwać je począł. Mam go na 50 zaledwie kroków, bokiem ku mnie zwróconego, więc strzelam, jak do tarczy. Gdy dym prochowy rozpłynął się w powietrzu, z wilka śladu nie było. Strzał wydał mi się jakiś dziwnie słabym i cichym. Nabiłem fuzję powtórnie, lecz pewne podejrzenie i wątpliwość wzbudziła się we mnie. Nad ranem przybiegł śliczny lisek, siadł na swym puszystym ogonie, przekręcił łebek na bok i długo wpatrywał się w łakome kąski, medytując, od czego zacząć swą ucztę. Kropnąłem do niego, klapnęło jak z furmańskiego bicza, lisek zwiał, mało nawet tem nastraszony. Na drodze oczekiwał mnie Moniuszko, zapytując z ironicznym uśmiechem, ile wilków zabiłem! Nie wątpiłem już teraz o wyrządzonym mnie figiu zamiany naboi, więc ukarałem go kilkudniowem milczeniem.

C. d. n.



DR. J. KALM-PODOSKI.

O psach rasowych i rasach psów.

(Ciąg dalszy)

3. Spinone.

Tego psa dlatego wspominam, że jest prototypem szorstkowłosych legawców. Ojczyzną jego jest przeważnie Piemont.

W dawniejszych czasach były ogólnie rozpowszechnione na pograniczu Alp i zachodniego Bałkanu szorstkowłose gończe. W Styrji, Karyntji, Tyrolu i Bośni tu i ówdzie się jeszcze je napotyka. Od nich to pochodzi „Spinone“ i „Deutsch-Stichelhaar“, tak samo jak „Kurzhaar“ od gładkich gończych.

Budowa tego psa jest prawie identyczna z niemieckim legawcem, tylko uszy ma krótsze — do 14 cm. Maść biała z żółtemi plamami, albo pomarańczowo-siwa z takimiż plamami.

Charakterystycznem jest owłosienie. Składa się ono z krótkiej, puszystej, w lecie rzadszej, w zimie gęstszej wełny pokrywającej cały korpus, prócz głowy i z dłuższego — 3 do 6 cm — szczecinowatego, cienkiego, sprężystego i również gęstego włosa wyrastającego z pomiędzy tej wełny. Dwojakie owłosienie nie jest zresztą niczem nadzwyczajnem. Znajdujemy je przedewszystkiem u dzikich psów, u wilka i lisa, następnie u wszystkich prawie kudłatych psów, jak szpice i owczarze, a nawet czasem u krótkowłosych psów, żyjących dłuższy czas w bardzo zimnych krajach. Charakterystycznem zatem w tym wypadku jest szczecinowaty włos spinona i jego pokrewnych. Szczecina ta pokrywa całą skórę. Najdłuższą jest na grzbiecie, najkrótszą na głowie i uszach. Na uszach jest włos tak krótki i gładki prawie, jak u „Kurzhaara“. Na głowie prawie gładko przylega, tylko nad oczyma tworzy wyraźniejsze brwi i na górnych wargach jest trochę dłuższy i odstający, jednak nie tworzy nigdy wyraźnych wąsów ani koziej bródki — jak n. p. u Griffonów. Pozatem włos ten rośnie, jak u gładkich psów, w kierunku wstecz i w dół, nie tworząc nigdzie ani rozdziałów, ani wirów, w przeciwieństwie do Griffonów. Tam zaś, gdzie końce włosów się spotykają t. j. wzdłuż gardła, brzucha, tylnej strony nóg i dolnej ogona, tworzy się t. zw. szew, niby króciótka szczoteczka, jak zresztą u wszystkich gładkich psów, u których to jednak jest mniej widoczna.

Spinone w północnych Włoszech, a szczególnie w Piemoncie jest jeszcze dosyć rozpowszechniony, pozatem nigdzie się go nie spotyka. Ma być bardzo dobrym legawcem. W dawniejszych czasach eksportowano go do Francji, gdzie się przyczynił do wytworzenia rasy griffonów.

4. Stichelhaar.

„Deutsch-Stichelhaar“ albo „Deutscher stichelhaariger Verstehhund“, zupełnie podobny do poprzedniego, w budowie jeszcze bardziej do niemieckiego legawca zbliżony, maści wyłącznie „brauntiger“, opisanej poprzednio, powstał taksamo jak spinone z gończych szorstkowłosych. Już w średnich wiekach był bardzo rozpowszechniony w południowych i środkowych Niemczech, w Austrj, bawarji, Wir-

tembergji i Turyngji, natomiast w północnych Niemczech i pogranicznych krajach był zupełnie nieznany. Jest to znakomity pies myśliwski nie ustępujący w niczem „Kurzhaarowi“, a dzięki swemu owłosieniu jest daleko wytrzymalszym na wilgoć i zimno.

5. Deutsch-Drahthaar.

Ta rasa powstała ze skrzyżowania Kurzhaara z Stichelhaarem, jest jeszcze niewyrobiona, jednak od kilku lat uznana przez kartel i posiada własny Zuchtbuch. Sierć powinna być szczecinowata, ale bez wełny. W praktyce jednak różne dziwolągi się jeszcze wyradzają.

6. Pudel-pointer.

Jest to produkt skrzyżowania pudla z Kurzhaarem. Wygląd ma być podobny do „Drahthaar“, ale wskutek młodości rasy, jest jeszcze bardzo mało ustalony. Rasa ta również od kilku lat jest uznaną przez kartel i ma własny Zuchtbuch. Mojem zdaniem, ostatnie dwie rasy nie mają najmniejszej racji bytu. Mając bowiem dwie tak znakomite rasy, jak Kurzhaar i Stichilhaar, niema zupełnie sensu chcieć wytworzyć żmudnymi eksperymentami coć, co w najlepszym razie może być tylko kiepskiem naśladownictwem pierwowzoru.

7. Griffon d'arrêt.

Griffony powstały we Francji przez krzyżowanie importowanych Spinonów z Barbetami innemi mniej lub więcej kudłatemi rasami krajowemi.

Pierwotnie było kilka typów griffonów. Dziś uznany jest ogólnie tylko „Griffon à poil dur“.

W drugiej połowie XIX wieku niejaki p. Korthals w Biebesheim importował z Francji najlepsze Griffony i założył systematyczną hodowlę tych psów. Tu powstała właściwa kolebka tej rasy. Stąd ona po Niemczech i Belgji się rozpowszechniła. Obok Korthalsa największe zasługi w ustaleniu i uszlachetnieniu tej rasy poniósł baron Gingins, Belgijczyk, założyciel i długoletni prezes niemieckiego „Griffonklubu“. Przed wojną Francuzi dla poprawy rasy sprowadzali griffony z Niemiec.

Griffon ma być bardzo dobrym legawcem, jednak podobno nie dorównuje niemieckim Kurz- i Stichalhaarowi.

Nazwa „Griffon“ oznacza pewien typ owłosienia, właściwy nietylko legawym griffonom — „Griffon d'arrêt“ — ale i innym rasom pokojowym, owczarskim etc.

Dwa typiczne zjawiska spotyka się u wszystkich griffonów. Najpierw rozdziały i wiry. Włos dzieli się wyraźnie na całą długość nosa, spadając na obie strony w postaci długich wąsów, następnie środkiem karku, grzbietu i krzyżów i wreszcie wzdłuż nóg. Na środku czoła nieco wyżej oczu tworzy się wir, włosy na kształt gwiazdy rosną w wszystkich kierunkach, spadając temsamem na oczy, które całkiem zasłaniają. Takie wiry znajdują się też na piersi i na bokach nóg. Drugiem typicznem zjawiskiem jest sposób rośnięcia włosów. Włos nie jest jednolicie rozsiany po skórze, ale rośnie kupkami, włosy z każdej kupki tworzą rodzaj kosmyka. W środku każdej kupki jest włos najgęstszy, a na granicy między jedną kupką, a sąsiednią, rzadszy. Wełny zwykle brak zupełnie. Włos griffonów jest długi (koło 10 cm) szorstkawy albo miękki.

8. Settery.

Jak już wspomniałem, sprowadzono już w XIII wieku, a może i dawniej jeszcze, spaniele do Anglji. Tam używano ich po części jako nibyto gończych, do szperania w krzakach i zaroślach („Stöberhund“) i w wodzie, po części zaś uczono je stawać do zwierzyny. Te ostatnie nazywano „setting-spaniels“. Stąd nazwa „Setter“.

Najdawniejsze wizerunki setterów, przedstawiają typ pośredni między dzisiejszym setterem a spanielem, a rzeczywiście, ściśle biorąc, między setterem a spanielem, o ile weźmiemy tylko „sprindera“ i „cockera“ w rachubę, niema innej różnicy, jak wzrost.

Standart „Spanielclubu“ powiada bowiem, że spaniel powinien być dokładną minjaturą settera. Pod względem myśliskim, setter zajmuje miejsce pośrednie między pointerem a Kurz-haarem. Ma nos równie dobry jak pointer i temperament zbliżony do niego, pod względem zaś inteligencji i podatności do tresury, a szczególnie pod względem zalet moralnych nie ustępuje prawie niemieckiemu legawcowi. Jest on, jak Niemcy mówią: „ein Herrenhund“, w przeciwieństwie do pointera, którego nazywają: „ein Zwingerhund“. W Anglji używa się setterów w terenie obfitującym w zarośla i krzaki i do polowania błotnego i wodnego, do czego się całkiem specjalnie nadają. Od setterów żąda się też przeważnie aportowania, czego się od pointera nie żąda.

a) English-Setter.

Maści przeważnie białej z czarnemi plamami. Tło białe bywa posypane błękitno-czarną hreczką (Blue belton), co jest wysoce cenione i poszukiwane. Na głowie musi być symetryczna czarna maska, obejmująca łeb, uszy i oczy. Pysk i nos białe. Zdarzają się też żółte i pomarańczowe plamy i całkiem czarne settery, ale się ich zwykle od dalszej hodowli wyklucza dla utrzymania typu. Budową jest setter bardzo podobny do pointera, tylko długi włos nadaje mu odmienny wygląd. Głowa jest dłuższa i smuklejsza, nos dłuższy niż u pointera i zupełnie prosty. Uszy długie, nisko osadzone. Górne wargi nieco dłuższe, zakrywają dobrze pysk, nie wisząc jednak. Szyja długa, lekko wygięta, korpus zwięzły, muskularny, nogi proste i suche, łapa dość duża, dobrze zamknięta, ogon prawie prosty, średniej długości — 30 do 35 cm — noszony prawie poziomo, podczas szukania nieco wyżej poziomu i bardzo ruchliwy. Wzrost 60 do 64 cm. Włos długi jedwabisty, gładki i lśniący. Na głowie krótszy, na pysku zupełnie krótki, na uszach długi, lekko falowany i przerastający brzegi ucha o 2 cm, przez co ucho się dłuższem i szerszem wydaje. Na szwach, zatem wzdłuż gardła, brzucha i nóg, długa frenzla, na ogonie bogata chorągiew, najdłuższa w połowie ogona, a ku końcowi coraz krótsza. Temperament angielskiego settera jest bardzo gorący, więc w suchem polu dość prędko się męczy i tresura jego jest bardzo żmudna.

Nazywają go także ogólnie „Laverack-Setter“, a to dlatego, że w połowie zeszłego wieku Mr. Laverack najpiękniejsze settery tego typu hodował i każdy szanujący się hodowca starał się rodowody swoje od psów Laveracka wyprowadzać.

b) Irish-setter.

Zwany także „red“ albo „golden setter“, czyli irlandzki setter, jest maści żółto-kasztanowatej, mniej lub więcej ciemnej, bez odmian, najwyżej z strzałką białą na czole. Pozatem zupełnie podobny do poprzedniego. Temperament ma spokojniejszy, nadaje się do wszelkiej tresury i może śmiało z niemieckimi psami konkurować. Irlandzkie settery, są też w Niemczech, szczególnie w Bawarji i Austrji bardzo rozpowszechnione i cenione. (C. d. n.)



JÓZEF HR. POTOCKI.

Z obcych światów.

Nad Setitem.

(Kartki z wyprawy myśliwskiej

Złożyliśmy tu wizytę miejscowemu rezydentowi rządu angielskiego, panu Mathews, który nas najuprzejmiej przyjął i wszystko obiecał ułatwić. Podziwiać należy tych ludzi żelaznej woli i hartu, którzy długie lata w tej dziczy spędzają, odcięci niemal zupełnie od świata i cywilizacji, w ciągłem, wyłącznem prawie obcowaniu z dzikimi krajowcami, zatopieni w tysiącach najdrobniejszych szczegółów miejscowej administracji.

Pan Mathews naprzykład pięć lat już z Gedaref nie wyjeżdżał, a polowanie i sport są jedyną jego rozrywką.

Popołudniu tego dnia zająłem się zakupem brakujących nam jeszcze przeróżnych rzeczy, jak: siekier, gwoździ, sznurów, prowizji, ryżu i durry dla ludzi, oraz spisaniem umowy o wielbłądy, których dwadzieścia zamówiłem na potrzeby dalszej ekspedycji jeszcze z Chartumu Wreszcie należało wynająć osiołki wierzchowe dla nas i Kacpra.

Jak na całym świecie, tak i w Sudanie ceny na wszystko niepomiernie podskoczyły w porównaniu z tem, jak było tu przed 20-tu laty. Wówczas wynajęcie wielbłąda kosztowało wraz z usługą 5 piastrów dziennie; dzisiaj — 30 i więcej (5 piastrów = 1 szyling).

Najgłówniejsze, że zastaliśmy tu zamówionych dla nas z ramienia rządu shikarich, czyli myśliwych-przewodników, po dwu dla każdego z nas, według angielskiego systemu, praktykowanego w Afryce. Jeden jest starszym łowcem, drugi „gunbearer'em“ do noszenia broni.

„Główny“ shikari, stary Achmet Karuma, istny autorytet w myśliskim świecie Sudanu, jeszcze nie przybył i dopiero w dalszej drodze miał się do nas przyłączyć. O zwierzynie nad Setitem krążą niezupełnie jasne, ale dosyć pomyślne pogłoski. Miejscowi ludzie chwalą tamtejsze okolice, jako obfitujące w grubego zwierza. O słoniach opowiadają, że liczne ich stado znajduje się o parę godzin marszu od Gedaref, co się w przyszłości najzupełniej sprawdzić miało.

Ranek dnia następnego przeszedł na różnych ostatecznych przygotowaniach i zakupach. Nabyte przezemnie w Omdurmanie siodła na osły okazały się niepraktyczne i za ciężkie; chłopcy woleli krajowe siedzenia na baraniej skórze bez puślisk i strzemion, ja zaś miałem pożyczone mi przez pana Skirmunta siodło angielskie, nieco sztywne i twarde, ale łatwiejsze do wsiadania i dla mnie przydatniejsze.

Zapomniałem nadmienić, że nawinął mi się tutaj krajowy urzędnik, nazwiskiem Fuad, piastujący przy miejscowym komisarjacie funkcję tłumacza przy angielskim rezydencie i prosił o zabranie go na naszą wyprawę. Chętnie się na to zgodziłem, bo, jako znający język arabski i miejscowe narzecza, a przytem płynnie i dobrze mówiący i piszący po angielsku, mógł nam się przydać Uzyskawszy więc dlań od inspektora urlop dwutygodniowy, przyłączyłem go do naszej karawany, czyli, jak tu nazywają, hamli. nazwy, której nadal stale używać będę. Jechał na własnym osiołku, prowizję miał swoją, sympatyczny był i usłużny, a choć okolicy poza Gedarefem nie znał i o polowaniu dzikie miał pojęcia, okazał się jednak użyteczny, zwłaszcza z początku, nim poznaliśmy bliżej naszych ludzi i wprawili się nieco w języku arabskim. Niedługo wszakże z nami przebywał, gdyż go po paru dniach urzędownie odwołano i z drogi powrócić musiał do Gedaref.

Nareszcie wszystko było do marszu gotowe, rozporządzenie wydane — i 13. lutego w sobotę o 3-ciej popołudniu wyruszyliśmy z Gedaref na wschód. Kierunku tego mieliśmy się trzymać już stale. Szło naszych wielbłądów 10 i osłów wierzchowych 4; prócz tego kilka wielbłądów i osiołków, które były prywatną własnością naszych ludzi i przewodników. Angielski inspektor dodał nam w charakterze eskorty zbrojnej, dwu poliscjantów z miejscowej milicji. uzbrojonych w szybkostrzelne karabiny i jadących na rących wielbłądach wierzchowych, zwanych „mehali“. Doskonali to byli ludzie, nazwiskiem Achmet i Szukrala; okazali się wielce sprytni i użyteczni. Wielbłądziarzami byli przeważnie dzicy Hodendoa, o dziwnej, rozwichrzonej fryzurze, uzbrojeni w dzidy i miecze.

Hamla nasza wcale pokaźnie się przedstawiała; razem z nami było ludzi do trzydziestu.

Pierwszy nocleg w obozie wypadł w miejscowości Tor-For o 16 klm od Gedaref. Zwierzyny tego dnia nie widzieliśmy.

14. lutego 1921.

Noc jeszcze była, gdyśmy, zwinąwszy obóz i wyprzedzając hamlę, wyruszyli w dalszą drogę do miejscowości, zwanej Sofi, leżącej nad rzeką Atbarą o 50 klm od Gedaref. Okolica z otwartego stepu przechodzi w zwyczajną dżunglę afrykańską z mimozy, akacji i drzew gumowych, podszytych wysoką żółtą trawą. Kraj monotonny, coraz bardziej pogarbiony we wzgórza.

Po sześciogodzinnym, nader forsownym marszu w tropikalnym upale przystanęliśmy na południe w przydrożnem schronisku, odpoczywając parę godzin, nim hamla za nami nadciągnęła. Oprócz pantarek i przepiórek, których chłopcy zastrzelili po kilka sztuk, oraz pojedyńczych arieli, innej zwierzyny nie widzieliśmy, nie biorąc pod uwagę niezliczonych ptaków drapieżnych, jak orły, sępy i jastrzębie, których całą kolekcję ornitologiczną na każdym kroku się spotyka.

Nie bez głębszej emocji dostrzegłem w południowym marszu na trakcie świeże tropy słoni. Po dwudziestu latach pierwszy raz je znów widzę — i wyznam, iż nie spodziewałem się nigdy, że pierwsze ślady najgrubszego zwierza, jakie spotykamy, będą właśnie tropami tych olbrzymich pachydermów. W Chartumie nic o tem nie wiedziano. Miejscowi krajowcy twierdzą, że są to słonie spłoszone przez kłusowników i strzelców, które, przekroczywszy rzekę Atbarę. przyciągnęły z gór abissyńskich i od dłuższego czasu tu się trzymają.

Sporo ich być musi, bo powybijały w dżungli formalne drogi, a połamane gałęzie i powyrywane z korzeniami drzewa świadczą o częstych przechodach potężnych gruboskórców.

Był to dzień najwięcej może nużący z całej wyprawy, bo, pragnąc koniecznie przed nocą stanąć w Sofi, szliśmy bez przestanku do godziny 7-mej wieczorem i ciemno już było, gdyśmy nareszcie, po jedenastogodzinnym forsownym i wyczerpującym marszu, dotarli nakoniec do Sofi, gdzie znaleźliśmy wygodną kwaterę w ładnym, z kamienia zbudowawym rest-house'ie, najwytworniejszem chyba schronisku w całym Sudanie.

Hamla dopiero w parę godzin po nas się dowlokła i niezwykle późno zasiedliśmy do wieczerzy, naprędce przez naszego kuchmistrza zgotowanej.

Tegoż wieczora odbyłem naradę z łowcami co do naszych planów myśliwskich, w szczególności co do słoni i sposobu polowania na nie. Jedynym skutecznym sposobem jest — podjąć ich trop o świcie, gdy wracają z wodopoju i starać się je podejść na odległość strzału Niestety, straszy nas brak broni grubszego kalibru, oraz kul stalowych do naszych Springerów, których firma wiedeńska przez omyłkę lub zapomnienie w zapasie amunicji nie dostarczyła i których tylko Józio 5 sztuk wszystkiego do swego Rigby posiada.

Wiadomości o innej zwierzynie, również pocieszające, mówią o lwach i dużych antylopach. Serca rosną i nadzieje ducha podnoszą.

Z terasy naszego rest-hous'u śliczny widok na krajobraz, roztaczający się przed nami, zupełnie odmienny od tego, któryśmy dotąd w Sudanie oglądali. Tuż u naszych stóp, między wysokiemi skałami, wśród urwistych bloków i głazów, płynie piękna rzeka Atbara, o zielono niebieskawych nurtach. Opodal w srebrnem świetle księżyca widzimy, jak na dłoni, ludną osadę Sofi i chatki miejscowej milicji.

15. lutego.

Pierwszy nocleg w Sofi był bardzo wygodny. Wczesnym rankiem chłopcy wyszli na polowanie, ja zaś po wczorajszym forsownym marszu wolałem odpocząć i zająłem się urządzeniem obozu i różnemi drobnemi zarządzeniami.

Z mojej sypialni, naprzeciw mego łóżka widzę o wschodzie słońca stado małp, schodzących do rzeki i dwie małe gazelki z rodzaju dik-dików, żerujące nad brzegiem. Niezliczone stada gołębi i różne ptaki zlatują się z szumem do wody, krajowcy znoszą rozmaite produkty, mleko, jaja, masło i świeże ryby... Wtem słychać pierwsze strzały chłopców — polowonie rozpoczęte!

Po chwili przynoszą dwie gazele, ubite przez Romka, Józio wraca z siedmioma pantarkami, ubitemi jednym strzałem, a Romek przynosi trzecią gazellę (G Heuglinii) i opowiada, że zabił ogromnego krokodyla, który jednak zniknął w nurtach rzeki i dostać go nie będzie łatwo.

W południe przekąska i krótki odpoczynek, poczem walna narada z łowcami, bo zjawił się główny shikari, Achmet Karuma, najlepszy jakoby łowiec z nad Atbary i Setitu, kierownik wielu wypraw myśliskich, dumny ze swoich licznych atestatów, świadczących o jego świetnej karjerze łowieckiej, w której jakoby pamięta czasy sir Samuela Bakera, tego najsłynniejszego przed półwiekiem sportsmana na kontynencie afrykańskim. Po długich targach i pertraktacjach dochodzę z nim wreszcie do zgody i zawarcia umowy, w czem nasz tłumacz Fuad okazał się wielce pożytecznym.

Osią najbliższych projektów myśliskich są naturalnie słonie, o których wieści napływają coraz dokładniejsze. Mają się one znajdować w dość licznem stadzie niedaleko obozu, regularnie bowiem odwiedzają wodopój.

W związku z przewidzianymi planami wydaję rozporządzenie na jutro.

Popołudniu wychodzimy wszyscy trzej na zbrojną przechadzkę, w czasie której wszędzie napotykamy ślady słoni i świeży ich pomiot, ale innej zwierzyny, prócz pantarek, nie widać.

16. lutego.

Ranek był niezmiernie chłodny. Jako zjawisko charakterystyczne notuję, że sam widziałem na termometrze wszystkiego 4^0 R. Temperatura jednak szybko się ociepla, a chłodne noce są właśnie najlepszą zaletą tego cudnego klimatu.

W nocy słonie do wodopoju, jakoby wcale nie przyszły, choć podejrzewam, że nasi shikari spali spokojnie i na wywiadach wcale nie byli. Wczesnym świtem rozchodzimy się w trzy strony, każdy ze swą bronią i eskortą. Józio idzie z Achmet Karumą, jako najlepszym tropicielem Mnie prowadzą po prawym brzegu rzeki do wodopoju, gdzie, sądząc po śladach, słonie świeżo być musiały. Olbrzymie ilości pomiotu, gałęzie zerwane i ubita ziemia — wskazują na stado, z licznych sztuk złożone.

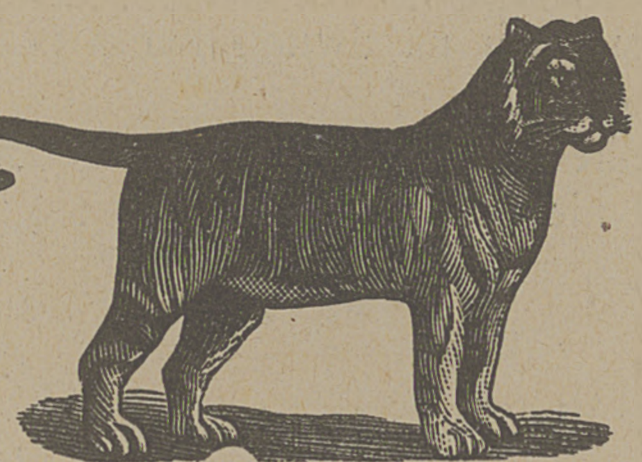
Jako kontrast do olbrzymiego pachyderma, zabijam najmniejszą zwierzynę w tym kraju — sudańskiego zająca, wielkości królika, o ogromnych, przeźroczystych żyłkach. Udało mi się też tego ranka zejść i ubić dużego dropia, zupełnie podobnego do europejskich i bustarda z gatunku naszych pustynników.

Podchód gazelli mi się nie udał. Wogóle mam wrażenie, że poza słoniami zwierzyny tu niewiele. Zbyt dużo ludzi i bydła po dżungli się krząta.

Chłopcy wracają po sześciu godzinach marszu za świeżutkim tropem słoni, lecz — czy wskutek złego wiatru, czy innej jakiej przyczyny — do zwierza dotrzeć nie zdołali i — prócz pantarek, nie przynieśli żadnej innej zwierzyny.

Podczas popołudniowego spaceru przypatruję się krokodylom, grzejącym się na słońcu, na granitowych blokach w pośrodku Atbary. Potworne jaszczurki!

Dzisiejszy rozkład — 10 perliczek. Śpiżarnia pełna. Wieczorem walna narada z chłopcami. Chłopcy wybrali się po wieczerzy na brzeg rzeki na wywiad, aby słonie ujrzeć przy świetle księżyca. Po północy wracają, mówiąc, że słonie słyszeli, ale ich zobaczyć nie zdołali.



Korespondencje.

Gródek Jagielloński, w marcu, 1923.

Jako delegat, ośmielam się przedłożyć krótkie sprawozdanie ze stanu łowiectwa w południowej połaci tut. powiatu w roku ubiegłym.

Jak wszędzie, tak i tutaj, długa i śnieżna przeszłoroczna zima, a następnie późna, z przymrozkami nocnemi wiosna, wreszcie słotna jesień, dały się przedewszystkiem we znaki kuropatwom — które niemal znów doszczętnie wyginęły, a następnie zdziesiątkowany został bardzo ładny już w r. 1921 stan zajęcy, tak, że na ogół był on ledwo teraz średni, a to na obszarze Gródka, Powitna, Bartatowa, Cuniowa, Uhorzec i t. p. — a natomiast znacznie podupadł i równa się zeru: w Dobrostanach, Woli Dobrostańskiej i Jaryniu. Knieje te, jedne z największych w powiecie, nazwać można już obecnie „głuchemi". Dlaczego, niewiadomo, czy dlatego, że poluje się w nich za często, czy z powodu rozwiniętego silnie w tych okolicach kłusownictwa, czy też z powodu obu tych przyczyn razem — dość — że w krótkim czasie — o ile się czegoś nie zaradzi, zając i sarna będą tam fenomenalną rzadkością i to chyba tylko jeszcze jako „przechodnią".

Również popsuł się stan zwierzyny w znanych i ongi pozazdroszczenia godnych Rodatyczach. Wiele na ogół padło tam w ubiegłym sezonie zwierzyny, dowiedzieć się trudno, ale że polowano tam za często i znacznie przetrzebiono stan zwierzynyny — to jest faktem.

Stosunkowo najlepiej przetrzymały przedostatnią srogą zimę sarny i w tych rewirach, gdzie je nadto w latach wojennych i powojennych bezwzględnie szanowano, przyrost ich jest bardzo widoczny, a więc w lasach gródeckich, lubieńskich, uhereckich i putiatyckich.

Dzików w roku ubiegłym ubito mniej, jak w zeszłym, z wyjątkiem w Jaryniu, gdzie w dwu ostatnich latach padło ich z ręki zarządcy tamtejszych lasów podobno sztuk około czterdzieści. W innych kniejach ubito ich znacznie mniej, a to: w Woli Dobrostańskiej cztery, w Dobrostanach dwa, w Staw-

czanach również podobno dwa — a ponieważ w innych lasach dziki stałych barłogów nie mają, więc tembardziej spotkanie z nimi było trudniejsze.

Lisów widziano i strzelano mniej jak dawniej — niektóre ubite sztuki nosiły jeszcze piętno „zarazy“ t. j. w postaci nagich kit i t p. defeków w futerku.

Jesiennego ciągu słonek, z powodu słot, nie dało się wyzyskać — to też ubito ich niewiele.

Szczegółowycn rezultatów wszystkich polowań w tej części powiatu podać nie mogę, gdyż mimo uprzejmej odezwy, z wielu rewirów sprawozdań mi nie przysłano (n. p. z Lubienia, Rodatycz, Stawczan, Woli Dobrostańskiej), więc tembardziej trudno podać, wiele padło zwierzyny na polowaniach luźnych w polu, przez myśliwych ubitej — a zatem ograniczyć się muszę tylko do kilku dat ścisłych, a mianowicie:

Tow. im. św. Huberta we Lwowie ubiło na dzierżawionych terenach zajęcy 73, kozłów 2, lisów 2, słomek 3.

Towarz. myśliwskie w Gródku Jagiel. ubiło zajęcy 87, kozłów 5, lisów 3, słomkę 1.

W Uhercach niezabitowskich padło w 8 strzelb zajęcy 23 (do kozłów nie strzelano).

W Dobrostanach na dwudniowem polowaniu ubito zajęcy 7, kozłów 4, lisów 2.

Szanse wobec łagodnej, minionej zimy, dla przyszłego zwierzostanu za niezłe, obaczymy, jak się spisze jeszcze marzec i kwiecień. *Dr. H. Malsburg.*

* * *

Nowy Sącz, w marcu, 1923.

Przykro mi, że z niebardzo wesołemi mogę się podzielić wiadomościami z Szanownymi Czytelnikami „Łowca“, pisząc sprawozdanie z ubiegłego roku myśliwskiego. Jak wszędzie, tak i u nas, w naszym powiecie, długoletnia wojna, podczas której w każdej wsi zakwaterowane były wojska, zniszczyły prawie doszczętnie zwierzostan. Brak gospodarzy rewirów, brak straży łowieckiej były powodem, że każdy strzelał co chciał i kiedy chciał. Zatraciły się granice rewirów myśliwskich i z jednej strony swawola żołnierzy, zwłaszcza ofiaerów, z których każdy uważał się za nemroda, z drugiej strony zwykłe kłusownictwo, gdyż broni i naboi było w bród, spowodowały wprost klęskę zwierzyny łownej. Nawet lisy, z powodu koni padłych na parchy, rozszerzyły między sobą tę niebezpieczną chorobę i wyginęły.

Ustawa łowiecka z 13. lipca 1904, tworząca spółki łowieckie i oddająca większości rewirów w niepowołane ręce, była tym ostatnim ciosem, godzącym w łowiectwo polskie. Przed wojną, gdy zwierzyny było dosyć, nawet większy odstrzał mógł się wyrównać, po wojnie, gdy zwierzostan został zniszczony prawie doszczętnie, tę resztę niebobitków musimy zaszanować, nie chcąc doprowadzić do tego, aby na naszych ziemiach wyginęła zwierzyna, Zaszanować znaczy nie strzelać, zrozumie to myśliwy-hodowca, który tę zwierzynę nietylko strzela, lecz także rozmnaża. Przestrzegając pilnie czasu ochronnego, sprowadzając do rewirów dla odświeżenia i poprawy rasy zające, kuropatwy, bażanty — podając karmę dla zwierząt w czasie zimy, a gdy przyjdzie klęska lub pomór, że stan zwierzyny pomimo wszystko jest zły, sam wstrzymując się tak długo od polowań i odstrzału, aż zwierzystan się poprawi. Gdy się czyta sprawozdania naszych delegatów z całego kraju w pismach fachowych, słyszy się nieustanną skargę, że obecni dzierżawcy polowań — nie mają jeszcze zrozumienia dla tej ważnej gałęzi gospodarstwa, jakiem łowiectwo i że polowania wydzierżawiane przez spółki łowieckie, zamieniają się w krótkim czasie w pustkowia, zwłaszcza, gdy dzierżawcą jest „homo sapiens“ z gatunku Rusticanus. To samo, niestety, musimy powiedzieć o naszym powiecie nowosądeckim, są w nim rewiry jak oazy na pustyni, gdzie jest trochę zwierzyny, zresztą zwierzyna prawie zupełnie zniszczona. Z powodów tych, delegaci byli zmuszeni zamknąć w naszym powiecie polowanie w 20-tu gminach na przeciąg 2 lat. Starostwo nowosądeckie otworzyło w jednej gminie prawo polowania na wniosek delegata hr. Stadnickiego, dzierżawca bowiem przedstawił stan rzeczy niezgodny z prawdą i za panem tym wstawiali się posłowie włościańscy — faktu to jednak nie zmienia, że pan ten, nie będąc myśliwym. nie mając nawet broni myśliwskiej, oddał polowanie chłopu (strażnikowi), który zniszczył zwierzostan i robi w dodatku sąsiadom szkody.

Na złą dolę naszej nieszczęsnej zwierzyny złożyło się jeszcze i to, że wartość i cena jej poszły ogromnie w górę, za marnego zajączka płacono w sezonie 10.000 Mkp., za skórkę lisa do 250.000 Mkp. Obok więc kłusowników, w całem słowa tego znaczeniu t. j. złodziei zwierzyny, obok nadmiernego rozmnożenia się drapieżników, jak wron, srok, jastrzębi, kotów i psów włóczących się po polach — których z powodu wysokiej ceny naboi, nie tępią tak, jak przed wojną, utworzył się jeszcze inny gatunek myśliwego-dzierżawcy z inteligencji. Wydzierżawiając polowanie, taki pan (o którym się mówi, że daje gwarancję, że nie będzie kłusował), z chwilą otwarcia sezonu, a więc od 1. października do końca stycznia poluje 2—3 rary **w tygodniu** na tymsamym terenie, aż nie zastrzeli ostatniego zająca. Inny pan, nie będąc sam myśliwym, nie mając nawet broni myśliwskiej, oddaje to polowanie chłopu, to się nazywa, że trzyma strażnika polowania i ten strażnik kłusuje jak rok długi, zabierając lwią część dla siebie, a od czasu do czasu, jakiegoś zająca dając dla pana dzierżawcy. Od ognia, gradu, wojny i od takiego sąsiada, który nie będąc sam myśliwym, pozwala polować na kuchnię, chroń nas Panie.

Proszę uprzejmie takich panów-myśliwych na tem miejscu, aby zmienili taktykę — postępowanie takie jest w wysokim stopniu nieetycznem i naprawdę rumieniec wstydu występuje, gdy się o tem pomyśli, że na coś podobnego, zdowywają się ludzie t. zw. kulturalni. Gdy nie znajdę innego sposobu, to w następnem mojem sprawozdaniu podam nazwiska tych panów do publicznej wiadomości. Kto nie poluje sam, nie może znać stanu zwierzyny w rewirze, nie może regulować odstrzału, a oddając dla marnego zająca, polowanie w ręce niepowołane, wyrządza szkodę łowiectwu krajowemu, czyni szkodę na swoim terenie, a co gorsza i na sąsiada. Taksamo, jak wybijanie zwierzyny, jak to mówią, do nogi, choćby z zachowaniem jej czasu ochronnego, jest czynem zgoła nie myśliwskim i oba te sposoby niadaleko odbiegają od zwykłego kłusownictwa.

Co do samych polowań w naszym powiecie, to prym wiodą, jak zawsze, obszerne rewiry myśliwskie Adama hr. Stadnickiego, w Nawojowszczyźnie. Cudna okolica górska, zespół dobrych myśliwych, świetna znajomość terenu i doskonałe przewodnictwo, nadają tym polowaniom nieprzeparty urok. Sezon polowań rozpoczyna polowanie na „Wysokiem“, są to lasy, pola i potoki, tu bywa nieraz dzik — lecz w tym sezonie go nie było, mioty lisie świeciły również nieobecnością gospodarzy — jeden tylko lis, był łaskaw ukazać się drużynie myśliwskiej, lecz widocznie miał żelazny list bezpieczeństwa, pomimo bowiem, że wyszedł na dobrych myśliwych, uszedł zdrów i cało, aby opowiedzieć reszcie towarzyszy o zajściu. Na rozkładzie więc były same zające. W „Popardowej“, obok zajęcy, były już i lisy na rozkładzie. W „Marganiu“ znów same zające. „Chomszyska“, gdzie polowano dwukrotnie, były najinteresowniejsze. Tam strzelano obok zajęcy również lisy i dziki. Zdarzył się nawet zabawny wypadek. Oto jeden z myśliwych postrzelił zająca, który umykał wzdłuż linji strzelców. Lis, który się tej zabawie myśliwskiej z daleka przyglądał — zaatakował postrzelonego zająca. Zając nieborak narobił wrzasku i umknął na linię strzelców, gdzie rabuś napadł na swą ofiarę. Jeden z myśliwych z odległośc 150 kroków strzelił. Rezultat był jednak ten, że lis puścił ofiarę — lecz sam uniósł cenne futerko w miejsce bezpieczne. Z dzikami zaś było również niefortunne zajście. Z 4 sztuk obecnych w miocie, trzy odbiło się wstecz na nagonkę. Do jednego zaś strzeliło dwu myśliwych. Jeden z większej odległości — drugi byłby go niechybnie zabił, lecz kula trafiła tuż przed dzikiem w drzewo — odszczepiła kawał trzaski i dzik z trzaską na grzbiecie, lecz za to bez kuli, wyniósł się z miotu.

Ostatnie polowanie odbyło się w „Trzycieczu“. Święty Hubert specjalnymi względami obdarzył jedyną przedstawicielkę płci pięknej p. Starościną M., dając Jej liczne spotkania — w rezultacie na rozkład złożyło się 30 zajęcy, lecz lisie mioty świeciły pustkami — ku zmartwieniu gości, a kto wie, czy i nie gospodarza

Specjalnych polowań na dziki, które po inne lata odbywały się w „Rytrze“, w tym roku nie było.

Z innych polowań zadawalający stan zwierzyny zanotować należy: w Gołkowicach, Chełmcu, Niskowej, Łyczanie, Podrzeczu, Wielopolu, na Wulkach, Żeleźnikowej, Korzeczkowie, Łazach Biegonickich i Bugonicach — gdzie na rozkładzie jest zawsze kilka lub kilanaście zajęcy, często lis lub rogacz.

W końcu muszę słów parę powiedzieć o polowaniach w lasach rządowych. Dawniej cały teren jako taki był wydzierżawiony właśnie przez piszącego te słowa. Za rządów Rzeczypospolitej polskjej Zarząd okręgowy lasów państwowych we Lwowie oddzielił z największego kompleksu lasów w nadleśnictwie w Starym Sączu w Gaboniu, który liczy 1040 ha, większą połowę t, j. 536 dla p. urzędników Nadleśnictwa. Gdy w dniu 17. lutego b. r. urządziłem jedyne w roku polowanie na dziki w 7 strzelb z nagonką, zastaliśmy stan następujący:

Ponieważ dzień przedtem była ponowa, widziało się, że cała część wydzierżawiona zchodzona była, tak — jakby dzień przedtem odbywały się przemarsze wojsk w tyraljerkę, w licznych kierunkach. Znać było miejscami ślady ubitej i ciągniętej po śniegu zwierzyny (zdaje się ostatnl Mohikanie) i przez cały Boży dzień ani nagonka, ani psy nie ruszyły ani jednej sztuki i nikt z obecnych nie dał strzału. Trzech leśnych rządowych, którzy jako przewodnicy nagonki, obecni byli na polowaniu, zachowali dyskretne milczenie — może dziwiąc się, czego my tu właściwie szukamy. Słowem, Gaboń, to pustkowie, bez zwierzyny, literalnie niema ani jednej sztuki, wszystko wybite do nogi. Jak mi donoszono, odbywali tam p. urzędnicy z współudziałem gości kilka polowań z licznymi sforami psów — lecz mieli do tego prawo i nie chcę robić z tego powodu komukolwiek zarzutu. Gaboń, o ile leży w uroczem ustroniu, oddalony jest jednak od Nowego Sącza 3 godziny drogi kołowej w jedną stronę i sam dojazd jest ciężki, zwłaszcza, że $^1/_3$ część drogi przed samym dojazdem, przypomina drogi na Polesiu — droga poprostu jest wywozem drzewa z Gabonia. Zdawałoby się, że Zarząd dóbr, mając leśnych rządowych, powinienstać na straży kłusownictwa, a jednak tak nie jest. Jako marny dzierżawca, nie mogę mieć pretensji, ahy mi ktoś pilnował zwierzyny — gdy chciałem nająć dozorców — powiedziano mi, żə to niepotrzebne, bo leśni i tak polują — tymczasem rzecz się trochę inaczej z tem pilnowaniem przedstawia. Zresztą mniejsza o to, jedno jednak powinien był Szan. Zarząd dóbr uczynić — oto będąc najbliższym sąsiadem, gdy prosiłem o nagonkę i ewentualne otropienie dzików — powiedzieć mi po sąsiedzku: człowieku, daj sobie pokój z polowaniem, bo tam prędzej swoje ucho zobaczysz, niż dzika lub rogacza. Byłby to akt prawdziwej kurtuazji. Nie trudziłbym moich przezacnych druhów-myśliwych, daleką drogą, gotując im i sobie przykrość. W końcu nasuwa się myśl, czy zamiast robić idealny podział takiego rewiru — gdzie granicą jest powietrze, nie byłoby lepiej zatrzymać go w całości dla Zarządu, lub w całości wydzierżawić — każdy bowiem gospodarz, w inny sposób gospodaruje. Ze smutkiem widziałem w tych lasach, olbrzymie, świeże wyręby — furmanka za furmanką wywoziły olbrzymie pnie świerków i sosen i pomyślałem, że za zwierzyną pójdą wnet i lasy.

Lecz niech żywi nie tracą nadziei, wszystko na świecie ma swój koniec, może skończy się i obecna gospodarka w kraju i lepsze nastaną czasy dla nas i przez nas ukochanego łowiectwa.

Dr, Edward Zieliński.

* * *

Przemyślany, w marcu, 1923.

Będąc stałym i pilnym czytelnikiem „Łowca“, nie mogę wyjść ze zdziwienia, nie napotkawszy dotychczas nigdzie korespondencji z naszego powiatu, w którym nie brak przecież myśliwych, leśników i hodowców zwierzyny — chętnych wszędzie i na każdym kroku markować swą przynależność pod sztandar św. Huberta — jedkakowoż niechętnych do pióra — a tylu przecież ukrywanemi wiadomościami i doświadczeniami mogliby zasilić skromnie wyglądające łamy korespondencji „Łowca“.

Może mój skromny apel obudzi ich z dotychczasowego letargu i wezwanie me nie przejdzie bez echa.

Zapowiadający się świetnie pod wielu względami sezon myśliwski nie odpowiedział w rzeczywistości pokładanym w sobie nadziejom — co przepisać można częściowo mokrej porze wiosennej, letniej i jesiennej — nie odpowiadającej rozwojowi zajęcy, a wreszcie rozwielmożnionemu kłusownictwu i nie przebierającemu w środkach dla zdobycia „mięsa“, a wreszcie włóczącym się samopas po polach psom i kotom.

Pomijając polowanie na „deptaka“ i podchodnego, odbył się w powiccie szereg polowań, wzorowo pod każdym względem prowadzonych, których rezultat w następującym rozkładzie się przedstawia:

Swirz — hr. Lamezan, 1) polowanie 10 strzelb, 14 zajęcy. 2) polowanie 16 strzelb, 18 zajęcy.

Uszkowice — marsz. Wybranowski, 1) pol. 12 strzelb, 32 zajęcy, 1 rogacz. 2) pol 14 strzelb, 29 zajęcy, 1 dzik.

Pniatycz — pani Duszek, 10 strzelb, 27 zajęcy, 1 lis.

Dobra Magistr. Lwów, 14 strzeib, 36 zajęcy.

Uniów — dobra metrop. Szeptyckiego, 10 strzelb, 18 zajęcy.

Ciemierzyńce — dobra hr. Potockfego, 13 strzelb, 36 zaj.

Wypyski — dobra hr. Potockiego, 14 strzelb, 28 zajęcy.

Czupernosów — p. Tyzenhaus, 16 strzelb, 34 zajęcy, 4 rogacze.

Pusanów — starosta Błocki, 20 strzelb, 49 zajęcy, 1 lis.

Chlibowice świrskie — Tyszkowski, 12 strzelb, 26 zajęcy, 1 dzik.

Dunajów — dobra arcyb. obrz. łac, 10 strzelb, 27 zajęcy.

Nie od rzeczy będzie, jeżeli z tego miejsca podniosę głos w sprawie zastanowienia w formie apelu do członków M. T. Ł. odstrzału kozłów w zimie na polowaniach zbiorowych — jako mojem zdaniem nieetyczne z punktu widzenia myśliwemu, któremu zależy nie na „mięsie“, a na trofeach w postaci rożków, które na podchodnem w lecie wypatrzyć i zdobyć może.

Na zakończenie pozwalam sobie postawić propozycję wprowadzenia na wszystkich obszarach Rzeczypospolitej pozdrowienia myśliwskiego „Darz bór“ — któreby wyrugowało raz na zawsze tak niemile w „wolnej i niepodległej“ brzmiące „Weidmanheil“. Z myśliwskiem pozdrowieniem: Darz bór

Stêfan Fiipowicz.

* * *

Kołomyja, w marcu, 1923.

W Kołomyi zawiązało się z dniem 23. lutego 1923 drugie Towarzystwo Myśliwskie, pod nazwą: Mieszczańskie Towarzystwo Łowieckie.

Prezesem został wybrany jednogłośnie znany kupiec i botanik, p. Stanisław Stefański. Prawo polowania nabyte w gminach:

Kamionki małe, Tłumaczyk, Kniaźdwór, Ispas Gody-Tuska. Kluczów.

Nowopowstałemu i bratniemu Towarzystwu życzymy — „Szczęść Boże“.

* * *

Pikułowice, w marcu, 1923.

Jako jeden z delegatów powiatu lwowskiego, pospieszam z króciutkiem sprawozdaniem z najbliższej i znanej mi okolicy.

Polowania, urządzane w ubiegłym sezonie wykazały, że stan zajęcy jest wcale dobry, a w niektórych miejscowościach nawet bardzo dobry. Sarny przy umiarkowanym odstrzale rozmnażają się dobrze i dziś można już spotkać rudle po kilkanaście sztuk. Kuropatwy przezimowały dobrze, a jest tych na niedalekiem sąsiedztwie kilkanaście dość silnych stadek, jest więc nadzieja, że te miłe kuraki w b. r. znacznie się rozmnożą.

Lisy prawie wszystkie wyginęły na świerzb i dopiero w lutym (kiedy to lisy odbywają bardzo dalekie wycieczki), niektóre z tych, korzystając z wolnych mieszkań, zakwaterowały się u nas.

Kapryśna zima sprzyjała chociaż z przerwami dość wczesnej parkotni, o ile więc motylica z powodu długotrwałej zeszłorocznej słoty nie wyrządzi w rodzie zajęcym spusfoszeń, to można się spodziewać silnej rozmnoży.

Polowania odbyte w ubiegłym sezonie dawały różne rezultaty, zawisłe nietylko od aury, ale także od mniej lub więcej krzywych śrutów, a, że takie bywają, dowodem urządzone

z początkiem grudnia ub. r. polowanie na gruntach gminnych w Żydatyczach. Na bliżej mi nieznanych 6 strzelb i około 40 strzałów, podniesiono 1 zająca! A wiele z tych strzelanych stało się pastwą wron i srok?!

Na polowaniach odbytych 14. i 15. grudnia w lasku w Żydatyczach i części lasu w Pikułowicach, w 10 strzelb padło 70 zajęcy i 1 rogacz.

W Barszczowicach polowano pod koniec stycznia w szkaradny, słotny dzień, to też w strzelb kilkanaście padło tylko 10 zajęcy i 2 rogacze.

Dwa polowania w Bilce szlach. dały w rezultacie 57 zajęcy i 1 dzika, zaś w Jaryczowie starym około 50 zajęcy.

Podczas śnieżycy z dnia 23. na 24 stycznia buszowały w lasku Żydatyckim 4 wilki, których jednak, przybywszy 24. stycznia rano, w lesie już nie zastałem. *M. Małaczyński.*

* * *

Żukocin, w kwietniu, 1923.

Knieja w Chocimierzu.

Dziwnem się to wyda, że będąc delegatem w powiecie tłumackim, zajmę się specjalnie knieją w Chocimierzu. kiedy obowiązek nakazywałby mi traktować cały powiat jednakowo.

Muszę jednakowoż opisać przebieg podnoszenia się zwierzostanu w tym rewirze, celem wzbudzenia szlachetnej rywalizacji u sąsiadów.

Z właścicielem Chocimierza znamy się od dzieci, a będąc w równym wieku, polujemy od najmłodszych lat razem; ja, będąc więcej zapalonym myśliwym, wyciągałem sąsiada na kaczki, na podchód rogaczy i wogóle podniecałem tę szlachetną namiętność, co też kochanemu sąsiadowi na dobre wyszło. Nie będę wymieniał szeregu polowań odbytych w Chocimierzu, nadmienię jednak, że kiedy wróciłem w 1916 r. z rozmaitych c. k. szpitali, mocno przez kule moskiewskie podziurawiony, namówiłem sąsiada na zrobienie w grudniu polowania. I rzecz zupełnie jasna, że w tej, tak pięknej niegdyś kniei, nie zastaliśmy nic, gdyż 7 zajęcy zabitych w 9 strzelb, nie można nazwać inaczej.

Po ukończeniu wojny światowej rozpoczął gospodarz racjonalną gospodarkę, zaczynając od energicznego ścigania kłusowników i karmiąc w zimie zwierzynę, nie szczędząc na to trudów i kosztów. Dodać muszę, że pieczę nad zwierzyną powierzył p. dyrektorowi B. Sanockiemu, który z zadania swego wywiązał się znakomicie.

Rezultaty tych starań widzimy już w styczniu 1922 roku, kiedy na dwudniowem polowaniu pada w 20 strzelb 82 zajęcy i 4 lisy.

Na dwudniowem polowaniu odbytem 15. i 16. stycznia b. r. zabito w 12 miotach w 24 strzelby, 116 zajęcy, 4 dziki, 3 lisy i 1 żbika — na 331 strzałów.

W pierwszym dniu, gdzie braliśmy przeważnie mioty dzicze, okazały się dziki dla nas bardzo łaskawe, gdyż pojawiły się w czterech miotach i wychodziły na linję w kilku partjach.

Królem dwudniowego polowania został p. Juljusz Jakubowicz, nadmienić jednak muszę, że szczególnemi względami św. Huberta cieszył się p. K. Agopsowicz, który po zabiciu pokaźnej ilości zajęcy, kładzie celnym strzałem dużego wycinka i pozbawia życia żbika, który nieostrożnie na jego stanowisko się natknął.

Na domowem polowaniu, przy silnym wietrze, zabijamy w 7 strzelb, dnia 23. stycznia, 25 zajęcy, na 70 strzałów.

I znowu zwołuje nasz kochany gospodarz dziesięciu wybrańców, na łowy na czarnego zwierza, dnia 3. lutego.

Ja od szeregu lat zaszczycony godnością łowczego w tej kniei, odnoszę nagrodę za moje trudy, zaraz w pierwszym miocie, gdyż ze stadka dzików, składającego się z czterech sztuk, rulują w tryplecie 3 dziki. Następny miot okazał się pustym.

W trzecim miocie pada duża locha od jednego strzału p. Jastrzębskiego, a warchlak, strzelany na flance, salwuje się ucieczką.

W czwartym i ostatnim miocie wychodzi duży odyniec i pada pod gradem kul czterech myśliwych, którzy zdążyli dać do niego 16 strzałów.

Dzika przyznano p. A. Jełowickiemu, gdyż jego pierwsza kula była umieszczona na łopatce. Złośliwi jednak twierdzili, że każdemu z czterech strzelających, trzeba było przyznać po 34 i $^1/_2$ procent zabitego odyńca.

Sprawozdanie z polowań odbytych w całym powiecie, umieszczę w jednym z następnych numerów „Łowca".

Andrzej Jakubowicz.

* * *

Warszawa, w marcu, 1923.

W numerze 16. „Głosa Poleskiego" ukazał się artykuł p. t. „Pionierzy kultury łowieckiej". Artykuł ten pióra niewiadomego autora zawiera szereg zarzutów, a nawet obelg pod adresem „Poleskiego Towarzystwa Myśliwskiego". Zanim sprawą tą zajmą się władze sądowe, winien jestem, jako prezes Poleskiego Towarzystwa Myśliwskiego, następujące wyjaśnienie.

Bezpodstawna napaść zazdrośnego autora artykułu zamieszczonego w „Głosie Poleskim", oparta jest poprostu na mylnej interpretacji terminów ochronnych w obowiązującej ustawie łowieckiej. W całym byłym zaborze rosyjskim obowiązują przepisy o polowaniu z 17. lipca 1871 roku, w których, w myśl § 16, strzelanie do samców sarn, a więc do rogaczy i do kogutów: głuszców, cietrzewi i jarząbków dozwolone jest przez cały rok.

Na zasadzie rozporządzenia Min. R. i D. P. (Dz. Ust. Rz. P. 20 r. N. 63. poz. 422), wydanego na podstawie Art. 17 Dekretu Rady Reg. z dn. 3. stycznia 1918 r. D. P. M. R., ustanowiona została ochrona rogaczów od 15/I. do 30/IV. i na głuszce zarówno koguty jak kury, przez cały rok — jedynie na terytorjach województwa **Warszawskiego, Kieleckiego, Łódzkiego, Lubelskiego i Białostockiego**, a więc nie na terenie woj. Poleskiego, gdzie zgodnie z prawem, zabite przez grono myśliwych z Tow. Poleskiego owe trzy rogacze, przedmiot zazdrości i napaści „Głosu Poleskiego". Jak widzimy, zarzut nieznajomości ustaw łowieckich zwraca się temsamem przeciwko napastnikowi. Podniesienie zaś zarzutu „kłusownictwa" odkładamy na inne forum, przed którem wkrótce stanie albo zdemaskowany autor kłamliwej napaści, albo redaktor „Głosu Poleskiego".

Że myśliwi Tow. Poleskiego byli w zupełnym porządku, świadczy rozkaz Głów. Kom. Pol. Pań., wydany na zasadzie wyjaśniania Min. Rolnictwa i D. R., zwalniający przywiezioną zwierzynę od sekwestru, któremu uległa ona na skutek tajemniczego telefonogramu, wysłanego do posterunków Policji Kolejowej, na stacjach Łuków i Warszawa.

Dochodzenia policyjne w kwestji autorstwa onych telefonogramów dowiodą zapewne, iż źródła całej akcji, skierowanej przeciwko Poleskiemu Tow. Myśl. w jednem spoczywają ręku.

Stanisław Lilpop.



Zamknięcie polowania.

Starostwo w Radziechowie. L. 2631/24.

Radziechów, dnia 9. lutego 1923.

Do wszystkich Przeł. Obszarów dworskich i drzierżawców prawa polowania.

Na podstawie § 57. ustawy z 13/VII. 1909 Nr. 2. Dz. ukr. z r. 1910, zakazuję wybijania rogaczy aż do odwołania we wszystkich okręgach łowieckich.

Przekroczenia niniejszego zakazu karane będą na podstawie § 90. powyższej ustawy, dotkliwą grzywną lub aresztem.

Starósta.

* * *

Starostwo w Rohatynie. L. 2328/23.

Rohatyn, dnia 1. lutego 1923.

Do wszystkich Wydziałów Spółek łowieckich, Zwierzchności gminnych, Zarządów miast i Przełożeństw, Obszarów dworskich w powiecie.

Ponieważ wyniszczony w czasie wojny zwierzostan nie poprawił się, w myśl postanowień § 57. ustawy łowieckiej z 13/VII, 1909, zamykam w tutejszym powiecie polowanie na zające na dalsze 2 lata t. j. do dnia 31. grudnia 1925 r.

Pryśby o wyjątkowe zezwolenie na odstrzał pewnej ilości zwierzyny w czasie powyższym, będą uwzględniane tylko na wniosek delegata Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, którymi na powiat tutejszy są W. P. Józef Cieński w Czahrowie i Gustaw Rupp we Fradze.

Przekroczenia powyższego zarządzenia będą karane po myśli postanowień § 90 i następnych, ustawy łowieckiej.

Wydany tutejszem rozporządzeniem z dnia 17. listopada 1921 r. L. 22235 zakaz polowania na jarząbki, kuropatwy i kozły, obowiązuje do 31. grudnia 1924.

Radca Województwa i Kierownik Starostwa

Padlewski w. r.

* * *

Starostwo Jaworów. L. 3455.

Jaworów, dnia 9. marca 1923.

Do Wydziału Spółki łowieckiej, dzierżawców polowania, właścicieli samoistnego prawa polowania.

Stan kuropatw w całym tut. powiecie, skutkiem klęsk elementarnych i klimatycznych został do tego stopnia zmniejszony że zagraża temu ptakowi łownemu zupełne wytępienie. Wobec tego Starostwo na podstawie § 57. ustęp c) ustawy łow. z dnia 13/VII. 1909, Dz, u kr. Nr. 2, po porozumieniu z Wydziałem powiatowym oraz zgodnie z opinją Małop. Tow. Łow. z dnia 21/X. 1922 L. 1360, zamyka zupełnie w całym powiecie, a więc we wszystkich samoistnych okręgach polowania oraz w okręgach Spółek łowieckich, polowanie na kuropatwy, a to na przeciąg 2 lat t. j. do dnia 15. sierpnia 1924. Niestosujących się do powyższego zakazu, pociągnę z bezwzględną surowością do odpowiedzialności.

Posterunkowi Pol. Państw. do wszystkich w powiecie przez Państwową Komendę Pol. Państw. w Jaworowie, udzielam do wiadomości, z poleceniem ścisłego dopilnowania, by powyższy zakaz był bezwzględnie przestrzegany, o winnych bezzwłocznie donieść celem ukarania.

Starosta.





Sprawy Towarzystwa.

SPRAWOZDANIE

z posiedzenia Wydziału z dnia 9. kwietnia 1923.

Przewodniczy Prezes Juliusz hr. Bielski, obecni wiceprezesi Cyryl Czarkowski-Golejewski i Albert Mniszek, członkowie Wydziału Garapich, Jędrzejowicz, inż. Kamienobrodzki, Orski, Pieńczykowski, Prek, Sander, Streer, zastępcy: Ebenberger, pułk. Marjański, Reichard, tudzież kooptowany do współpracy z Wydziałem radca Gustaw Manasterski.

Po załatwieniu kilku spraw administracyjnych, mianowano w dalszym ciągu delegatem pana Kazimierza Sarjusza Remiszewskiego na powiat rawski.

W poczet członków Towarzystwa przyjęto:

Włodzimierza Bortnika, inż. Tytusa Bronarskiego, inż. Karola Gilowskiego, Zygmunta Józefczyka, Stanisława Kowalskiego, Stefana Krzysztoforskiego, Witołda Kwiatkowskiego, Edmunda Riedla, Henryka Rubinsteina, Aleksandra Schrama, Włodzimierza Stefaniuka i Towarzystwołowieckie w Jaworowie.

Dalsze zgłoszenia w toku informacji u delegatów.

Termin Zwyczajnego Walnego Zgromadzenia ustalono na dz. 15. czerwca, zaś premiowego strzelania na dz. 16. czerwca.

Zebranie Komitetu strzelnicowego odbędzie się w dniu 4. maja, zaś następne posiedzenie Wydziału w dniu 5. maja, w obu wypadkach o godzinie 5-tej popołudniu.



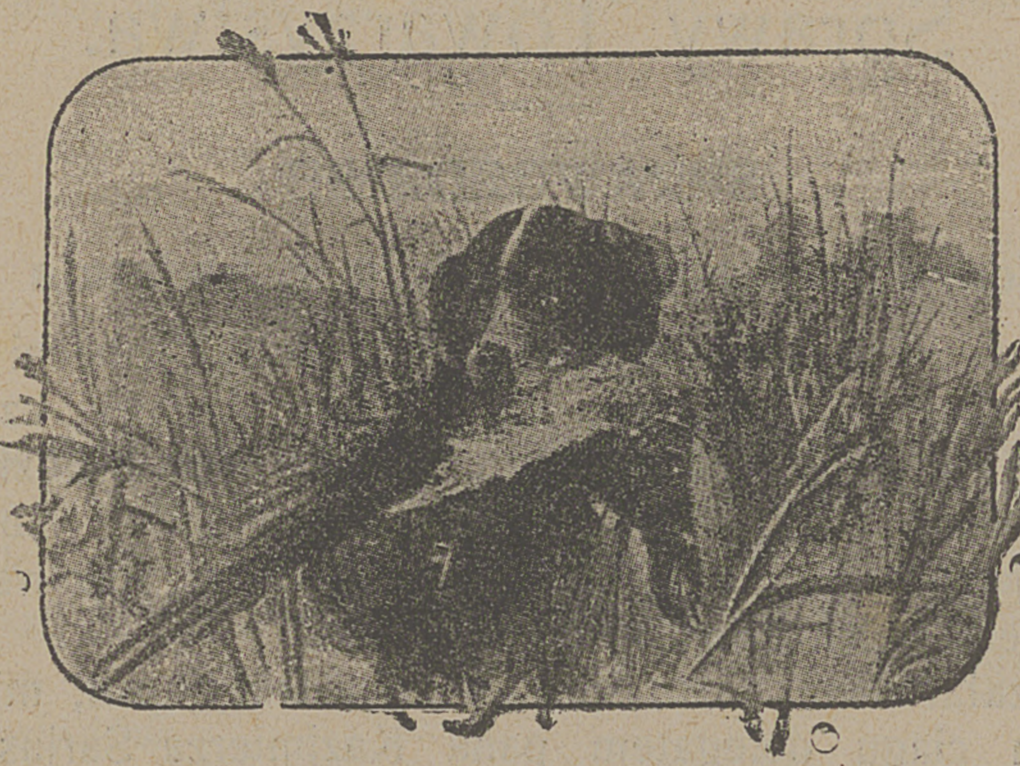
OD WYDZIAŁU i REDAKCJI!

Olbrzymie koszty druku zmusiły nas znowu do podniesienia prenumeraty „Łowca", zauważamy jednak, że uwidoczniona w nagłówku cena prenumeraty 9.000 Mkp. dotyczy tylko tych prenumeratorów, którzy pranumeraty za II-gi kwartał, do ukazania się niniejszego numeru „Łowca", już w całości nie byli uiścili, dotyczy ona zresztą oczywiście tylko prenumeratorów w ścisłem tego słowa znaczeniu, a nie członków Towarzystwa.

Dobrowolną daninę myśliwską w dalszym ciągu złożyli: Jerzy Wolski 5.000, Bohdan Cywiński 10.000, J. Pałasiewicz 5.000, Zygmunt Trembicki 2.850, Adam Kwaśniewski 12.000, Dr. Ludwik Roehr 2.000, Zygmunt Streer 2.000, Edward Nikielski Morgenbesser 20.000, Wiktor Fieber 10.000, Stanisław Woźniak 2.000, Otto Kazimierz 2.000, Władysław Grzegorzewicz 10.000, razem 89.850 Mkp.

Sprostowania i uzupełnienia.

W sprawozdaniu myśliwskiem z Rzeszowa, drukowanem w kwietniowym numerze „Łowca“, opuszczono wzmiankę o polowaniu, odbytem w Zgłobniu dnia 20. stycznia b. r. u Dr. Midowicza, na którem w strzelb 15-cie ubito 61 zajęcy i jastrzębia. Polowanie u p. G. Zerygiewicza w Iwaniu Złotem odbyło się 3. stycznia b. r., a nie 23. grudnia z. r. Suma ubitych zajęcy wynosi sztuk 419, a nie 41.

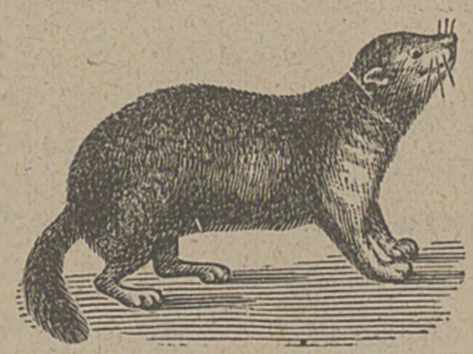


Bratnie wydawnictwo.

Z Nowym rokiem wychodzić począł w Warszawie „Przegląd myśliwski“, dwutygodnik, pod redakcją p. Juliana Eismonda. Przegląd ten wypełnia dotkliwą lukę w naszej prasie łowieckiej, jaką był brak czasopisma krajowego w stolicy kraju. Starannie i umiejętnie redagowany, pisany poprawną polszczyzną, bogaty treścią, „Przegląd myśliwski“, mamy nadzieję, będzie jednym z filarów, dźwigających budowę naszego rodzimego łowiectwa, a wydawany w stolicy, stać się powinien wkrótce organem Centralnego związku łowieckiego w państwie.

Będziemy tłumaczami uczuć naszych Członków, jeśli prześlemy ich imieniem bratniemu czasopismu najserdeczniejsze „Szczęść Boże“.

Adres Redakcji: Warszawa, Szpjtalna 1. — Administracji: Szpitalna 12. Cena prenum. na prowincji miesięcznie 2.100 Mkp.





Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, Zimorowicza 14. — Tel. 740.

Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.